

Teksty Drugie 1993, 4-5-6, s. 54-69



Hańba i ohyda. O autobiografii Jadwigi z Działyńskich

Dorota Siwicka

Dorota Siwicka

**Hańba i ohyda.
O autobiografii Jadwigi z Działyńskich
Zamoyskiej**

Jadwiga Działyńska przyszła na świat w huku armatnich strzałów. Urodziła się „przed samym wzięciem” Warszawy, 4 lipca 1831 roku, jako zapowiedź klęski, dodatkowy kłopot w ciężkich czasach i rozczarowanie dla rodziców — gdyż była dziewczynką. Urodziła się, jak pisała, wśród narodowych kłótni i utyskiwań, wśród cholery, szubienic i pożarów. „Nie wiem czy można urodzić się w mniej odpowiedniej chwili, nie wiem czy można więcej sprawić przykrości i wszelkiego rodzaju kłopotów swym przyjściem na świat” — dodawała (s. 8)¹. Apokaliptyczny obraz momentu urodzin nie jest, oczywiście, wspomnieniem niemowlęcia. Jest to pierwsza, świadomie wprowadzająca interpretacja autobiograficzna, wymowna sceneria odsłaniająca się po podniesieniu kurtyny. I od razu zaznacza się tu pewna obcość pomiędzy autorką a jej losem, jakaś nieodpowiedniość i generalny kłopot. Gdyby chociaż urodził się chłopiec! Gdyby pojawiła się jako syn — nie pierworodny wprawdzie, gdyż ten, Jan Działyński, już się był urodził

¹ Numery w nawiasach oznaczają strony *Wspomnień J. Zamoyskiej*, wstęp i opracowanie M. Czapska, Londyn 1961. <http://rcin.org.pl>

— ale jako syn drugi, zapewniający trwałość rodu, przykrości i kłopoty zostałyby chociaż osłodzone. Wiadomo, czasem wielu synów musiało pójść na rozkurz, żeby ród nie wygasł, a tego obawiał się ojciec Działyński. Słusznie zresztą, gdyż Jan zmarł w roku 1880, nie pozostawiając męskiego potomka i nad jego grobem złamano miecz oraz herbową tarczę. Niestety — wedle sugestii autorki — czas nieszczęśliwy obfitował w urodziny dziewczynek.

Wszystko rozwija się z owego początku narodzin. Jak z kłębka, w którym zwinięto razem narodową klęskę i niedoskonałość płci.

Tu mieści się też zapowiedź faktu dla życia Zamoyskiej niewątpliwie przełomowego — jej przyszłego małżeństwa ze starszym o trzydzieści lat wujem Władysławem. Właściwie rozstrzygnięto się to już wtedy, gdy była płodem. Otóż jej matka — zawsze z dziwną konsekwencją wspomagająca surowy los — na kilka tygodni przed rozwiązaniem pojechała odwiedzić swego brata w powstańczym obozie. Chciała osobiście przypiąć mu nowe szlify podpułkownika, co on uważał za szczególnie miłe dla siebie wyróżnienie. Zamoyski mawiał później, że już wtedy Pan Bóg przeznaczył mu Jadwigę, aby stała się dla niego nagrodą. I tak już miało zostać: żona była niedoskonałą nagrodą dla doskonałego patrioty.

Ale żona napisała autobiografię i fakt ten zmienia nieco postać rzeczy. Stanowczo za mało o tym mówiono. Adam Lewak, pisząc recenzję ze *Wspomnień*, traktował je jako „ciekawe źródło historyczne”. Autorka — pisał — wprawdzie „ogranicza się w swych wspomnieniach do przeżyć osobistych, ale i przy tej sposobności spostrzeżenia żony najczynniejszego polityka konserwatystów emigracyjnych rzucają ciekawe światło na czasy i opinie sprzed stu lat”². *Wspomnienia* Zamoyskiej nieraz przez historyków były wykorzystywane, ale zazwyczaj właśnie tak, wedle tego wzoru — jako spostrzeżenia żony, wprawdzie „osobiste”, ale pomimo to rzucające „ciekawe światło” na wielkie czasy i wielkiego męża³. Na Zamoyskiego ten tekst rzuca, moim zdaniem, nie tyle światło, co cień. Ale rzecz w tym, iż *Wspomnienia* mają wartość samoistną, jako jedno z najbardziej intrygujących dzieł osobistych właśnie. Wśród polskiej

² A. Lewak „*Wspomnienia*” *Jadwigi Zamoyskiej*, „Kwartalnik Historyczny” 1962 z. 4, s. 960–961.

³ Większe opracowania poświęcone Zamoyskiej dotyczą przede wszystkim jej działalności pedagogicznej. Por. np.: S. G. Mgr. Baudrillart *Une grande Ame et une grande Oeuvre*, Paris 1930; *Ze spuścizny Jeneralowej Zamoyskiej*, Warszawa 1927.

XIX-wiecznej literatury wspomnieniowej wyróżniają się jako konsekwentnie skonstruowana autobiografia. Pierwszym bohaterem jest bowiem wyraziste „ja” autorki, a najważniejszą fabułą — tegoż „ja” duchowe perypetie. I jest to opowieść znacznie wykraczająca poza zapiski żony towarzyszącej życiu sławnego męża, czy zbożnej arystokratki. Autobiograficzna rekonstrukcja losów stanowi zarazem analizę kondycji człowieka — wobec Boga, historii, innych ludzi. Lecz nie człowieka „w ogóle” — tylko kobiety. I nie kobiety „w ogóle” — lecz Polki.

W czasie, gdy Zamoyska pisała swe wspomnienia, a więc w latach 1893–95, była już założycielką szkoły dla panien w Kórniku, potem przeniesionej do Kuźnic. Była także autorką pism pedagogicznych, które służyć miały jako wskazówki pomocne w kształceniu młodych kobiet. W jednym z nich pisała: „My, kobiety, powinnyśmy do głębi przejąć się tym przekonaniem, że apostołstwo kobiet polega nie na słowach, ani na tym, czego słowami uczą, ale raczej na tym, czym są i jakimi są; nie na tym, co mówią, ale raczej na tym, co zamilczeć potrafią — nie na głośnej działalności, ale na cichym spełnianiu obowiązków”.⁴ Zgodnie z wiktoriańskim ideałem Zamoyska wykonała tu charakterystyczny gest przesunięcia kobiety w sferę milczenia, w ciszę codziennych obowiązków, gdzie powinna ona odnaleźć swą tożsamość. W ciszę przeciwstawną słowu, które nie jest powołaniem kobiety.

Naruszenie sfery milczenia poprzez wydawanie książek edukacyjnych mogło być uzasadnione ich ścisłym związkiem z pracą wychowawczą. Natomiast w przedstawionym wzorze kobiecości nie mieściło się opublikowanie autobiografii wynoszącej intymne „ja” na głośną scenę świata. Zamoyska mogła przygotować do druku biografię swego męża. I zrobiła to, dbając, aby wykreślono część wzmianek o niej samej.⁵ Autobiografia zaś powstała jedynie na prośbę córki i dla niej — w ciszy, nieoficjalnie, nie do druku. Oddawała córce rozdział po rozdziale, dedykując jej całość. Taka dedykacja dla dzieci bywa uważana za część kobiecego paradygmatu autobiografii.⁶ Lecz w tym wypadku ważniejsze jest może, iż tekst miał pozostać sprawą między kobietami, w intymności matki i córki. Miał być jakby pisaniem i niepisaniem zarazem, ukrytym

⁴ J. Zamoyska *O pracy*, s. 166. Cyt. za: *Ze spuścizny Jeneralowej Zamoyskiej*, s. 45.

⁵ Por.: *Jeneral Zamoyski*, t. VI, Poznań 1930, s. 43, przypis 2.

⁶ Por.: M. C. Mason *The Other Voice: Autobiographies of Women Writers*, w: *Autobiography: Essays Theoretical and Critical*, red. J. Olney, Princeton 1980, s. 210.

ujawnieniem tego, co zgodnie ze wzorem kobiety ciszą powinno być otoczone — co kobiety „zamilczeń potrafią”.

Kreśląc *Wspomnienia* Zamoyska nie musiała odgrywać społecznej roli „kobiety piszącej”, co w dużej mierze określa zazwyczaj kreację autorskiego „ja” w kobiecych autobiografiach. Nie musiała maskować swej odrębności poprzez upodobnianie opowieści do męskich autobiografii, ani też — przeciwnie — dbać o to, by mieściła się ona w społecznie akceptowalnych wzorach „kobiecej inności”.⁷ Nic nie wskazuje, by tworząc obraz swej osoby, liczyła się z oczekiwaniami czytającej, a więc także męskiej publiczności. Nie występowała zatem jako „inna”, lecz pisała jako taka sama jak córka kobieta i do takiej samej jak ona. I to pozwoliło jej otwarcie postawić pytanie o sens odrębności wspólnej im obu płci. Przez długie losy Zamoyskiej przewija się bowiem cały niemal czas ten problem: jak człowiek będący kobietą może poradzić sobie z faktem, iż nią jest?

Czytając XIX-wieczne wspomnienia Polaków nie znalazłam nigdzie uwag na temat „przeznaczenia mężczyzny”. Owszem, mówi się w nich czasem o przeznaczeniu człowieka oraz — najczęściej — Polaka. Jeśli zdarza się, że ich autorzy czuli się w jakiś sposób odmienni, nigdy powodem tego nie była ich płeć. Jeśli odczuwali jakies niedostatki swojego człowieczeństwa, to nie dlatego, iż byli mężczyznami. Tak, jakby płeć nie stanowiła problemu dla Polaka XIX wieku.

Historia „ja” Zamoyskiej jest w dużej swej części historią zdobywania świadomości własnej płci. Świadomości człowieka, który w pewnym momencie życia odkrył, iż przyjęte powszechnie pojęcia i wartości wyznaczają mu inne niż „człowiekowi” miejsce. Że wymagają, aby stał się kimś niż ten „człowiek” gorszym. Było to więc rozpoznanie własnej sytuacji przez poczucie obcości i przez nieszczęście. *Wspomnienia* są zapisem narastającego rozumienia takiej kondycji kobiety, buntu przeciw niej, wreszcie — swoistej pokory. Ta autobiografia otwiera możliwość w naszej literaturze niecodzienną. Przedstawia bowiem indywidualną świadomość kobiety, która tworzy swą osobowość uwikłaną w XIX-wieczne wyobrażenia na temat płci — siłą rzeczy, także męskiej.

⁷ Ciekawą analizę gier strategicznych prowadzonych przez kobiety-autobiografów z ich odmiennością przedstawiono w pracy S. Smith *A Poetics of Women's Autobiography*, Bloomington and Indianapolis 1987, s. 45–55.

A w dodatku Zamoyska była Polką. Być Polką, kobietą–Polakiem, to podwójne nieszczęście. To wręcz pułapka. Pisana w pozornej ciszy autobiografia oznajmia to śmiało i pełnym głosem.

Za młodu miała wszelkie cechy bohatera romantycznego. Nade wszystko odczuwała silnie, iż jest, by tak rzec, bytem duchowym uwięzionym w materii. Jej życie upływało pomiędzy pragnieniem śmierci a marzeniem o doskonałości. I oba te dążenia skłaniały ją w stronę przestrzeni innej niż ziemską.

Jej najdawniejsze wspomnienia przywołują zmarłych. Z czasów ukrytych na granicy pamięci wyciąga liczne opisy zgonów znanych jej dzieci i kolejnych krewnych. Opisuje, jak wyglądali na łożu śmierci. A wyglądali zazwyczaj spokojnie, bo też na stronach tej autobiografii śmierć nigdy nie ma w sobie frenezji, nigdy — z jednym ważnym wyjątkiem: gdy umarła córeczka Zamoyskiej, Maria. To raczej życie, nie śmierć zdawało się jej frenetycznym kołowrotem cierpienia. Jego koniec oznaczał łagodne przejście na drugą, lepszą stronę. Wyzwolenie z życia, im wcześniej nadchodzące, tym lepiej.

Gdy miała kilka lat, złożyła swej ukochanej nauczycielce dość dziwaczne, lecz konsekwentne życzenia urodzinowe. Otóż życzyła jej prędkiej śmierci. „Nie myślę — pisała Zamoyska — aby to było ocenieniem szczęścia wiecznego i pragnieniem żeby go osiągnąć mogła. Zdaje mi się, że to raczej pochodzić musiało z uczucia, że życie nie jest rzeczą miłą, i że szczęśliwy, kto je zakończy” (s. 52). Tym, których kochała, życzyła szybkiego końca. Spoufalone ze śmiercią dziecko, nie widzące w niej niczego przerażającego, marzyło, jak i ono kiedyś umrze: „Wobec rozlicznych przykrości i smutków, którymi moje dziecinne lata były przepelnione, myśl o śmierci była dla mnie istną pociechą. O każdej przykrości mówiłam sobie: za pięćdziesiąt lat... i uspokajałam się” (s. 14).

Po zasekwestrowaniu rodzinnego majątku w Kórniku rodzina Działyńskich tułała się przez jakiś czas po siedzibach krewnych. Dzieliła z nimi zarówno cierpienia narodowe, jak i realną biedę. Musiało być też coś niedobrego w familijnej atmosferze, skoro siostra Jadwigi, Anna, skądinąd dużo pogodniejszego usposobienia, również pisała w swym pamiętniku, że jej dzieciństwo nie było szczęśliwe.⁸ Ale tu zgodzić się

⁸ Por.: A. z Działyńskich Potocka *Mój pamiętnik*, oprac. A. Jastrzębski, Warszawa 1973, s. 21–26 i następane.

trzeba z Roy Pascalem twierdzącym, że przy pisaniu autobiografii dzieciństwa dwie reguły rządzą wyborem faktów: nie tylko te zapamiętane, ale i te, które zapowiadają przyszłość.⁹ Przykrości i smutki dziecięce Zamoyskiej zapowiadają aurę, którą niezwykle konsekwentnie otoczyła swoje życie. Są one strojeniem duszy, melancholią nadaną przez autorkę bohaterce swej autobiografii. Wkrótce nastrój ten przemieni się w silną skłonność tanatyczną, w jawnie manifestowany wstręt do życia. Być — to horror. Śmierć zaś daje imaginacyjną możliwość pozwalającą znaleźć spokojną przystań wewnętrzną. Można się do niej zwracać, choćby na to, by umrzeć, trzeba było czekać lat pięćdziesiąt.

Jest w tej autobiografii coś z nastroju *Marii*. Zamoyską cechowała bowiem podobna do bohaterki poematu Malczewskiego postawa wycofywania się ze świata, owo:

Jak miło, by nie wadzić w światowym zamęcie
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod Śmierci objęcie.

Zamoyska także chciałaby zniknąć i zaniknąć gdzie indziej, gdzieś „tam”. Ale pragnienie niebycia „tu” wypowiedała również słowami z *Dziadów*, powtarzając je z okazji różnych, często drobnych życiowych okoliczności: „oczywiście świat nie dla mnie i ja nie dla świata i to przekonanie już się nigdy we mnie nie zachwiało” (s. 82).

Niemożliwość zaakceptowania istnienia ma swoje drugie, romantyczne skrzydło. Jest nim marzenie o doskonałości. W wyznaniach formułujących dziecięce zasady Zamoyskiej pobrzmiewają wyraźne echa *Ody do młodości*:

Cieszyłam się tym, co człowiek może. Robiło to na mnie wrażenie jakby jakiegoś rozstąpienia się ścian ludzkiej ograniczoności. Było mi to bodźcem do pracy, do nauki, do ciągłej dążności w górę [...], było mi żaglem i sterem [s. 106].

Pragnienie doskonałości stanowiło tedy inny sposób wyrwania ducha z więzów krępującej go materii. I przez całe życie Zamoyska próbowała doskonałość osiągnąć, dbając, aby każda, najdrobniejsza nawet czynność nadawała jej istnieniu ten wertykalny wymiar. Wspierała ją panna Birt — ta, której życzyła śmierci — angielska guwernantka, a potem przyjaciółka, zadomowiona u Działyńskich pomimo jej protestanckiego wyznania. To ona nauczyła dziewczynkę czytania Biblii, rozmyślenia nad nią oraz

⁹ Por.: R. Pascal *Design and Truth in Autobiography*, London 1960, s. 85.

wyglaszania samodzielnych opinii, uważając jednocześnie, by potrafiła ocenić zgodność każdego swego kroku z nauką płynącą z Pisma.

Pamiętam jak siadałam na niskim stołeczku, za parawanem, przy moim łóżku i długo tam przesiadywałam, coś półgłosem mrucząc, a gdy mnie panna Birt pytała co robię, odpowiadałam jej: *I am talking to God* [s. 52].

Taką siebie lubiła Zamoyska najbardziej, skupioną na rozmowie z Bogiem, skoncentrowaną na kształtowaniu i wznoszeniu ku niemu własnego ducha.

Obrazek ten stanowi również symboliczne wyobrażenie dzieciństwa przyszłej autobiografistki. Wybitność tekstu Zamoyskiej zestawiona z wychowaniem odebrany pod kierunkiem Miss Birt mogłaby być argumentem dla teoretyków, którzy utrzymują, iż istnieje ścisły związek pomiędzy rozwojem intymistyki i duchem protestanckim. Zgodziłabym się jednak z Béatrice Didier, że często, jak i w tym wypadku, ważniejsza była nie doktryna religijna, lecz wpojona w dzieciństwie dyscyplina samodzielnego analizowania własnej świadomości.¹⁰ Owo skupienie na sobie, rodzaj moralnego estetyzmu sprawiający, że człowiek patrzy na siebie jak na formę, którą może i powinien kształtować. Temu — wedle relacji samej Zamoyskiej — służyć miały młodzieńcze rozmyślania, rozliczne lektury, między innymi — co zapewne było nie bez znaczenia dla przyszłej autorki — Montaigne'a i Rousseau. Temu służyła modlitwa i gospodarskie zajęcia. „Dość, że żaden artysta, żaden malarz sumienniejszy nie rzeźbił marmuru, jak ja swoją duszę i życie” — pisała Zamoyska o sobie kilkunastoletniej (s. 85). I zarówno żyjąc, jak tworząc siebie w autobiografii, starała się nadać własnej postaci tak wyrazisty kształt, formę na tyle wypełnioną duchem, by mogła zaświadczyć, że jej byt rzeczywisty wykracza poza materię, że istnieje „nie dla świata”.

Tworząc ideał doskonałości młoda Działyńska nie myślała o swojej płci. Płeć materii, którą chciała wszak porzucić, nie wydawała się jej istotna i żyła raczej jak preadamitka. Lecz kobiecy składnik ideału musiał pojawić się, wcześniej czy później. Miała nie więcej niż dwanaście lat, kiedy spowiednik kazał jej czytać *Żywoty Świętych* Piotra Skargi, codziennie żywot świętego na dany dzień przypadający. W ich postaciach odnalazła tak pociągającą ją doskonałość, i odtąd starała się usilnie świętych naśladować, by stać się równie piękną jak oni. Lecz na czym

¹⁰ Por.: B. Didier *Le journal intime*, Paris 1976, s. 57–58.

ów ideał miał polegać, dowiadujemy się dopiero we wspomnieniach z roku 1851 poprzedzających propozycję małżeństwa. Autorka powraca wtedy do lektur Skargi, zapowiadając tym niejako mające nastąpić nieszczęście. Z nich bowiem wyciągnęła Zamoyska naukę, że doskonałość kobieca polega na cnocie czystości.

Warto się przyjrzeć z tego punktu widzenia wizerunkom świętych niewiast. Otóż we wszystkich opowiadanych przez Skargę historiach podstawową rolę odgrywa cnota bohaterek, również wtedy, gdy były małżonkami. Można by wręcz powiedzieć, że dramaturgia tych opowieści, konstrukcja fabuł opiera się na zagrożeniu cnoty i na perypetiach wiodących do jej zachowania. Obfitują one również w opisy rozmaitych metod stosowanych przez niewiasty, które już po ślubie starały się jak najrzadziej dopuszczać do siebie swych mężów. I tak na przykład, błogosławiona Kinga uprosiła swego męża, by przez rok dochowali czystości. Gdy rok minął, prosiła, aby mąż rok następny darował Przenajświętszej Pannie, trzeci zaś — Janowi Chrzcicielowi — i tak przeżyli lat czterdzieści w czystości. Święta Jadwiga zaś, przywiedziona do małżeństwa z woli rodziców, odsuwała swego męża, gdy tylko poczuła się brzemienna, a także we wszelkie święta, wigilie, piątki, cały Wielki Post i adwent. Dochowała się kilkorga dzieci, po czym uznawszy, że dość mają już potomstwa, namówiła męża, aby resztę życia spędzili w powściągliwości.¹¹

Dotychczas, tj. od ślubu mojej siostry Izi, od urodzenia siostry mojej Anny, od urodzenia i śmierci pierwszego synka mojej siostry, uważałam zamęście jako plagę życia ludzkiego i jako najdotkliwsze nieszczęście, które kobietę spotkać może. Potem przyszło mi na myśl, że jeżeli czystość doskonała, a więc dziewictwo są dla duszy największym uświęceniem, to zamęście musi być największym upośledzeniem. Ta czystość, tak jak wszystko, skoro raz przystęp do duszy mojej otrzymało, w mgnieniu oka doprowadziło mnie do ostatecznych wyników [s. 127–128].

W swej bezkompromisowości uznała, że doskonałość kobiety wymaga, by nie wchodziła ona w związek małżeński. Tylko bowiem zachowując dziewictwo może ona uniknąć włączenia się w ziemski cykl rodzenia i umierania. Romantyczny ideał człowieka i wzory religijne zaprawione naturalną skłonnością gnostycką Zamoyskiej doprowadziły ją do przekonania, że małżeństwo jest zaprzeczeniem prawdziwie ludzkich dążeń.

¹¹ Historie te odtwarzam na podstawie: P. Skarga *Żywoty Świętych Pańskich Narodu Polskiego*, Sanok 1855.

Że tak jak miłość otwiera przed człowiekiem krainę duchowej wolności, tak małżeństwo na zawsze ją przed nim zamyka.

I oto spotkała ucieleśnienie ideału. Był nim jej wuj — Władysław Zamoyski. Bohater powstania i wielki człowiek emigracji, słowem — ktoś skończenie piękny, ktoś, kogo nie można było nie kochać. „Pod względem tego, czym człowiek być powinien, ujrzałam jakby ziemię obiecaną i niewymownej doznałam rozkoszy” — pisała Zamoyska (s. 121).

Patriotyczne i religijne wychowanie wybuchało teraz egzaltowanym ubóstwieniem człowieka, który zdał się jej nie tylko polskim świętym, lecz uosobieniem doskonałości ludzkiej w ogóle. Widziała w nim to, czego sama pożyła najbardziej: wyrazistości postaci i opanowania wszelkich dążeń „ja” skupionych na wytyczonym ideale duchowym. Bóg i Ojczyzna, Ojczyzna i Bóg — to były, jak uważała, jedyne myśli tego człowieka. Z początku niepokoiło ją wprawdzie owo nierozdzielne połączenie wiary i patriotyzmu, fakt, iż Zamoyski mówił głośno o swojej wierze i wręcz manifestował religijność, uważając ją za rodzaj patriotycznego obowiązku, podczas gdy dla niej samej sprawy boskie należały raczej do najdalszych tajników duszy. Lecz wkrótce — i w tym odnalazła rys doskonałości — posągową jednolitość osoby przekraczającej ciasnotę ziemskich wymiarów. *Ecce homo* — te słowa nasuwały się jej na określenie wuja mającego być urzeczywistnieniem Chrystusa w Polsce. Toteż wielbiła go i nieraz przekonywała rodzinę o swojej do niego miłości. I to zapewne skłoniło Działyńskich do myśli, by połączyć córkę i generała małżeńskim węzłem. Nie wzięli jednak pod uwagę, że za Chrystusa za mąż wyjść nie można.

Przez dziewięć miesięcy opierała się projektowi małżeństwa. Ten okres nazwała później najprzykrzejszymi chwilami życia, na tyle ciężkimi i bolesnymi, że nawet wspominać o nich nie lubiła. Niemniej opowiadanie o tym, co małżeństwo poprzedziło i o jego początku zajmuje tu wiele miejsca, a pierwszy rok po ślubie — oddzielną, liczącą pięćdziesiąt stron część. Był to bowiem początek równie ważny, równie znaczący, jak w każdej autobiografii urodziny, dzieciństwo i młodość. W pewnym sensie miały tu miejsce drugie urodziny, drugie dzieciństwo i druga młodość — niby powtórzenie, wariacja na ten sam temat. Ale wtedy rodziła się dziewczynka, teraz — kobieta. Rodziła się do innego życia poprzez nagłe zyskanie świadomości własnej płci.

Namawiając córkę do małżeństwa, ojciec zapytał ją, co sądzi o Zamoy-skim.

Odrzekłam, że co do człowieka, nie ma innego na świecie, który by mi się tak podobał i którego bym tak kochała, ale co do rzeczy, tj. zamęścia, nie ma na świecie niczego, co by tak wstrętnym było, tak samo biorąc je w ogóle, jak w każdym szczególe. Mówiłam, że nie pragnę dzieci, ani własnej rodziny, ani zamężnego szczęścia, ani sług, ani stosunków, ani w ogóle niczego, co do zamęścia przywiązane i co z niego wynika [s. 133].

Niewątpliwie najbardziej wstrętne wydawały się jej owe „szczegóły” z „ogólnym” faktem zaślubin związane, a nieodłączne od pojawienia się na świecie dzieci. Stereotypowy motyw dziewczyny wydawanej za męża siłą, będący tematem krwawych dramatów literackich i pożywką dla romantycznych wzruszeń, które spisywali głównie odrzuceni kochankowie, zyskał tu bezpośrednią konkretność. Małżeństwo — to wstrętne kobiecie zepchnięcie w cielesność. Wstrętne nie dlatego, by czuła odrazę do przeznaczonego jej mężczyzny, lub by kochała innego, lecz ponieważ same zmysły i rodzenie uważa za ohydne. I ponieważ nie widzi — co powtarzała matce — żadnego związku między miłością a małżeństwem. Maria Czapska twierdziła, że Zamoyska zdawała się „pozbawiona naturalnych instynktów kobiecych, nawet instynktu macierzyństwa” (s. XVII). Nie wiem, czy na podstawie autobiografii można powiedzieć cokolwiek o „instynktach” autorki. Natomiast szczegółowy opis dzieciństwa i młodości pozwala dostrzec, w jaki sposób kulturowe wzory, wśród których kształtowała się jej osobowość, dostarczyły jej dowodów, iż istnienie jest nieakceptowalne. Że jedyny ratunek dla człowieka stanowi zamknięcie „ja” przed skażoną rzeczywistością materii i rodzaj egzystencjalnej ascezy. W wypadku kobiety symbolicznym znakiem takiego odgraniczenia miało być dziewictwo. Natomiast rodzenie dzieci byłoby — użyję tu określenia Jolanty Brach-Czaina — „świadectwem zgody, aktem bezwzględnie optującym za wartością istnienia”¹². Takiej właśnie zgody odmawiała. Już samo nagromadzenie przynależnych do małżeństwa elementów, jak rodzina, dom, służba etc., zdawać się jej musiało ostatecznym zamieszkaniem w istnieniu, zwielokrotnianiem życia, jego mnożeniem. A cóż dopiero wydawanie na świat innych, dzieci skazanych na cierpienia w ziemskim więzieniu. Przymus rozmnażania życia i zwielokrotniania cierpienia przejmował ją więc

¹² J. Brach-Czaina *Szczeliny istnienia*, Warszawa 1992, s. 61.

wstrętem. Toteż buntowała się przeciw niemu. Z powodzeniem mogłaby przemawiać słowami Byronowskiego Kaina, który wołał do Lucyfera:

O! w takim razie spraw, abym tu skonał!
Bo płodzić twory, które cierpieć mają
Przez długie lata, a potem umierać,
To mi się zdaje rozplenianiem śmierci,
Mnożeniem mordu.¹³

W samej rzeczy, gdy małżeństwo okazało się nieuniknione, śmierć znów zdawała się jej jedynym wyjściem z sytuacji. Chciała umrzeć kilkakrotnie — przynajmniej w imaginacji. Modliła się o śmierć — swoją lub jego. Rozchorowała się nawet na ospę — tuż przed wyjazdem do narzeczonego, kiedy kufry już popakowano. Z opisu wynika, że była to rzeczywiście ospa, aczkolwiek w korespondencji Zamoyskiego dwukrotnie wspomina się o cholera.¹⁴ Warto zauważyć, że jakkolwiek by było — ospa czy cholera — zaraza towarzyszyła i urodzeniu, i zamążpójściu. „Na myśl, że jestem w posiadaniu choroby, na którą umrzeć można, mało się z radości nie rozplakałam” — pisała (s. 141). Chciała umrzeć jeszcze tuż po ceremonii zaślubin — to by ją jeszcze uratowało — gdy państwo młodzi stali na dworcowym peronie w Halle: „patrzac na lokomotywę pomyślałam sobie: ona by jednak jeszcze pęknać mogła i mnie zabić, gdyby się Pan Bóg chciał nade mną zmiłować” (s. 144). Zamoyska nie miała jednak odwagi Anny Kareniny. Pragnęła by coś przyszło z zewnątrz i ją porwało, zabrało w dal, choćby jak Marię, którą utopiono (na czas) w stawie.

Jej pierwsza ciąża „dziwnym jakimś trafem” — jak pisała — była do końca niemal niewidoczna. Gdy na tydzień przed rozwiązaniem zapytano ją, czy aby rzeczywiście będzie miała dziecko, że może się myli, pomyślała jeszcze: „Oby!” (s. 178).

Pierwszy syn Zamoyskich przyszedł na świat trzynastym miesiącu po ich ślubie.

Uświadomieniu znaczenia własnej płci towarzyszyło poczucie absurdu i zawzirowania losu, hańby, upokorzenia i pogardy dla samej siebie. Zanim wyszła za mąż, wysyłała listy do Zamoyskiego, tłumaczac mu, że

¹³ Fragmenty *Kaina* cytuję w tłumaczeniu J. Paszkowskiego, za: G. G. Byron *Wędrowki Childe Harolda. Dramaty*, przeł. J. Kasprzewicz i J. Paszkowski, Warszawa 1955, s. 468.

¹⁴ Por. list Z. Krasińskiego do W. Zamoyskiego z 18 IX 1852 i list D. Stuarta do W. Zamoyskiego z 27 IX 1852, w: *Jeneral Zamoyski*, t. V, Poznań 1922, s. 413.

zupełnie nie nadaje się na żonę. Ten konwulsyjny opór sprawił, że kandydat na męża nabrał niejasnych podejrzeń. Powiedzmy, iż były to całkiem jasne podejrzania, acz wyrażone przez autorkę w formie na tyle tylko klarownej, na ile było to możliwe: „Doszedł wreszcie do tego przypuszczenia, że ja musiałam jakąś infamię popełnić i że moi rodzice, nie wiedząc gdzie i jak się mnie pozbyć, jemu mnie zgrabnie wkręcić chcą”. Zamoyski odpędzać miał te okropne podejrzania, przekonując siebie samego, iż Działyński „jest nadto człowiekiem honorowym, ażeby mu takiego kota w miechu sprzedać” (s. 142). Niemniej subtelny patriota nie omieszkał opowiedzieć żonie o swych domysłach i to w pierwszy wieczór po ślubie. „Powiedz mi — mówił — a święcie przyrzekam, że cokolwiek by było z głębi serca przebaczam i za złe brać nie będę, bylebym wiedział, bo udręczenia tego znieść nie mogę”. Zamoyska zrozumiała owo „cokolwiek by było” i padła zemdlona na kanapę. To posądzenie, które zdało się jej z początku monstrialne, jak i nadmiar chrześcijańskiego przebaczenia, opatrzyła komentarzem: „Przyszedłszy do siebie pomyślałam sobie, że kobieta co jest zdolna za męża iść, jest też zdolna wszystkiego innego, nic więc dziwnego, że ją posądzać o wszystko można. To rzecz naturalna, to oczywiście pierwszy dowód pogardy, jaki mi się należy” (s. 144).

Od tej pory zaczęła siebie porównywać do zwierząt. Nie tylko do „kota w miechu”, ale także — gdy ktoś pochwalił jej sposób poruszania się — do konia, o którego chodzie wypada dyskutować. Gdy zaś zdarzyło się jej roześmiać, zdziwiła się: „śmiej pochodzi z wesołości, z dowcipu, to przywilej wyłącznie ludzki — pisała — a ja, kobieta zameżna to czyste *bydlę*” (s. 148). Bydlę, a także ulicznica. Gdy świeżo poślubiony małżonek usiłował sprawić Zamoyskiej przyjemność, mówiąc iż ma piękną talię, ramiona i szyję, jej reakcja była paniczna: „Poszłam do drugiego pokoju i całym sercem się rozplakałam, myśląc sobie, jak się kobietę szanuje, to jej się takich rzeczy nie mówi, ale takiej co za mąż idzie, wszystko mówić wolno, jak ulicznicy” (s. 145). W drastycznych słowach sprowadzała swą osobę do stworzeń najniższych. Nie widziała już w sobie człowieka. Małżeństwo objawiło jej, iż jest kobietą, a więc istotą — jak sądziła — gorszą, bo skazaną na cielesność, jak ciało traktowaną. I, co ważniejsze, fakt, że na ślub w końcu się zgodziła, nasuwał jej podejrzenie, że być może jest w niej coś — płeć właśnie — co ją do osuwania się w cielesność kusi, że to kobiecość skłania ją do upadku. Zawsze dążyła do doskonałej wyrazistości swej postaci, teraz odkryła skazę, ciemną podwójność. I nie wiedziała już kim jest.

Czytając tę autobiografię obserwować można jakby w laboratoryjnych warunkach proces, podczas którego uwikłana w wyobrażenia epoki świadomość kobiety dochodzi do jednego z najtrwalszych stereotypów kultury — umieszczającego ją pomiędzy „świętą” a „dziwką”. Bo jakkolwiek niektóre ze swych skrajnych, młodzieńczych poglądów — np. w sprawie pięknej talii — sześćdziesięcioletnia przeszła autorka traktowała z pobłażaniem, to podejrzliwość wobec własnej płci została jej na zawsze. Zawsze już tropiła w sobie i w innych kobietach ową skłonność do upadania, co stało się z czasem wręcz obsesją grzechu. Nie raz na różne sposoby powtarzała to przekonanie, wspierając się autorytetem Pisma Świętego, że „kobieta nawet uczciwa jest bardziej niebezpieczną od mężczyzny zepsutego” (s. 183). Niebezpieczeństwo tkwiące w kobiecie wiązała, mniej lub bardziej otwarcie, z erotyką. I każde zetknięcie z mężczyzną traktowała jako groźne igranie z ogniem. Tak jej świadomość włączała się w społeczny obieg, w krążenie prawd, które kobiety same przekazują sobie na ich własną zgubę. Bo tam, przy tej lokomotywie, co pęknąć nie chciała, Działyńska powiedziała Jadwidze:

Jedną tylko dam ci radę, tę, którą moja Matka mnie dała w chwili rozstania po ślubie; pamiętaj, ażebyś nigdy, z żadnym mężczyzną nie zostawała się sama, ani na chwilę, ani z krewnymi, ani z księżmi, ani z profesorami, ani z lekarzami, ani z przyjaciółmi męża, ani z gośćmi zwykłymi, ani z młodymi, ani ze starymi, ani z nikim. Ileż razy później mojej Matce wdzięczną byłam za tę radę [s. 144].

Zygmunt Krasiński nakłaniał generała do małżeństwa. Starał się rozwiać jego niepokoje, czy aby pięćdziesięcioletni mężczyzna może jeszcze zaufać sercu niewieściemu. Zaś na wiadomość o zaręczynach pisał do niego, życząc mu szczęścia:

Znajdź duszę siostrzaną duszy twej, która świeżyć się będzie i rozkwitać przy tobie. Oceniaj konarami ramion tego kwiecica rozkwit. Bądź dębem ponad liliją pełną! Ale pamiętaj [...] nie przytłaczaj, raczej rozwijaj ku górze, ku niebu, ku błękitom staraj się wznosić młodocianego ducha, nie żądaj by się pochylił, by upuścił listki kielicha i siał się po ziemi wijącą rośliną. Nic łatwiejszego, jak zabić ducha niewieściego, lecz z jego śmierci pożytku nie ma. Owszem, niech żyje i żyje wiosennie, niech jak bluszcz rośnie i obwija ciebie, niech dorośnie aż do twego wierzchołka, o dębie strzaskany piorunem, a wtedy w zieloną koronę się rozrośnie i odda ci wiosny wszystkie twoje, własnymi wiosnami!¹⁵

Krasiński z właściwą sobie emfazą, tudzież skłonnością do kiczu,

¹⁵ List Z. Krasińskiego do W. Zamoyskiego z 15 V 1852; tamże, s. 411.

wyraziście przedstawił małżeńskie role: „dąb strzaskany piorunem” oraz „liliję polną” rozwijającą się cudownie pod czułym okiem w pnący się ku „wierzchołkowi” mężowskiemu „bluszcz”. Biały, niewinny kwiat i wymagający podpory bluszcz — trudno o bardziej stereotypowe wyobrażenia XIX-wiecznej kobiety, z „natury” słabej, skłonnej do upadku, potrzebującej opieki. Bluszcz jest wszak obrazem żeńskości, przedstawiającym potrzebę oparcia, „wiecznie kobiecego” przytulania się, przywierania, skłaniania głowy na pierś i zawisania u szyi.¹⁶ I mężczyzna — potężne drzewo, wprawdzie strzaskane — zapewne piorunem historii — lecz tym silniejsze wiedzą i doświadczeniem, symbolizujące panowanie męża nad dziecięcym duchem żony.

Zygmunt Krasiński wraz z małżonką pojawili się w Heidelbergu, gdzie Zamoyscy spędzali swe miodowe tygodnie. Tu poeta dawał generałowi kolejne rady, jak ducha żony wychowywać i podnosić. Zamoyski słuchał ich — aczkolwiek jego późniejszy zwyczaj sprawdzania rachunków sumienia, które przygotowywała Jadwiga przed pójściem do spowiedzi, wykreślenia z nich różnych grzechów oraz dodawania innych, nie był raczej tych nauk konsekwencją. Krasiński — przeciwnie — widział w Zamoyskim pewne cechy despotyczne i ostrzegał go przed nimi. Pani Eliza zaś przekazywała niedoświadczonej żonie rady praktyczne. Najciekawsze jest jednak, że owa analiza sytuacji duchowej małżonków, którą poeta przedstawił w liście, odpowiada zapisom ówczesnych uczuć autorki, jej bezradności i zagubieniu, jej poszukiwaniu oparcia — właśnie w mężu, w podporządkowaniu się jego wyższości i sile. Nie była to oczywiście zbieżność przypadkowa, ani nie wynikała ona tylko z młodzieńczego wieku Zamoyskiej. Jej wewnętrzna sytuacja stanowiła konsekwencję uwikłania w podobne wyobrażenia na temat kobiecej płci.

Podstawowym doświadczeniem, które wyniosła z wydarzeń towarzyszących zamążpójściu, była bowiem jej własna słabość. Ślub traktowała jako zaniechanie wolnej woli, rezygnację z samodzielnego kształtowania „ja” i poddanie się biegowi rzeczy. „W moich oczach nie połowę, ale *całkowitą* wartość moją straciłam i to nieodzownie” — pisała (s. 147). Toteż mówiła w podejrzanych żartach, iż jest „zerem”, które tylko stojąc przy „jedynce” — a więc Zamoyskim — stworzyć może „dziesiątkę”. Słaba, nie wiedząca kim jest i czy jest jeszcze „kimś”, przepętniona poczuciem niejasnej winy, postanowiła oddać swoje „ja” mężowi. To on

¹⁶ Por.: W. Kopaliński *Słownik symboli*, Warszawa 1991, s. 26–27.

miał ją nauczyć życia, opiekować się jej duchem, chronić go przed upadkiem. Nie ufając sobie, starała się odtąd spełniać jego wymagania, „dorosnąć” — zgodnie z radami Krasińskiego — do obowiązków, jakie stawał przed nią „wyższy” duch mężowski. Nie była już dziewczynką samodzielnie rozmawiającą z Bogiem, lecz mężatką potrzebującą pośrednika i przewodnika. Nie kształtowała siebie sama, lecz uczyła się realizować podsuwane przez niego wzory kobiecości. Uczyła się, jak być doskonałą „kobietą zamężną”. I powtarzała za św. Pawłem: „ta co jest panną może myśleć o tym, co boskie, a ta co mężatką musi myśleć o tym, żeby się mężowi podobać” (s. 138).

Autobiografia jest literacką grą z własną przeszłością. Zarówno autor, jak przeszłość obdarzeni są w niej pewną samodzielnością, ale też nawzajem decydują o swym kształcie. Zamoyska usiłowała nadać swoim dziejom formę wznoszącej się linii, która w momencie zgody na ślub została złamana i zboczyła z wyznaczonego jej toru.

Dziwne są losy ludzkie; zdawałoby się, że całe życie, to jakaś gra w ciuciubabkę między ludźmi, że po omacku żyją i kierują sprawami swoimi. Najmniejszy promyk światła mógłby wszystko wyjaśnić i sprostować, ale tego promyka właśnie brakuje i wszystko się płące

— pisała z okazji zamążpójścia (s. 140). Zawsze chciała, by jej życie było przejrzyste, by każdy czyniony przez nią krok jasno wynikał z jej najgłębszych przekonań. Małżeństwo zaś interpretowała jak pułapkę, w którą schwytała ją los na lat szesnaście. I już do końca urywającej się na 1864 roku autobiografii traktowała je jako życie nie swoim życiem, jak ciężkie kajdany obowiązku. Być może dopiero później — o czym wprost już nie pisała — gdy zamknęła się za murami szkoły w Kórniku, zyskała poczucie, że dzieje znów toczą się tak, jak zawsze powinny. Wbrew swej woli, lecz jednak, Zamoyska została Matką–Polką. I z tej perspektywy potępiała wiele ze swych wcześniejszych postępków, jak choćby to „oby!”, którym usiłowała powstrzymać przyjście na świat pierwszego dziecka. Niewątpliwie też uważała podobne zachowanie za przejaw grzesznego buntu wobec powinności nałożonych przez Boga na „kobietę zamężną”. Lecz zarazem jej sprzeciw zachował ambiwalencję wielu buntów romantycznych — nawet potępiony pozostawał dobrze uzasadniony. Trudno bowiem znaleźć osobisty zapis równie otwarcie przedstawiający erotyzm jako pokalanie, skażenie i upokorzenie człowieka. Trudno znaleźć w polskiej literaturze — i to chyba nie tylko auto-

biograficznej — drugi równie konsekwentny i skrajny wywód przeciw istnieniu. Wywód, w którym nieustanne pragnienie śmierci splatałoby się z tak zdecydowaną odmową prokreacji. Bo istnieć „nie dla świata” — to także nie rodzić dzieci. Szczególne musiały być stosunki między Zamoyską a jej córką, skoro postanowiła zostawić dziecku aż taki spadek.

Może chciała też przekazać córce pewną naukę, ten „promyk światła”, którego zabrakło w zasadniczej chwili jej własnego życia i pokazać, że ma ona możliwość wyboru. Może wyjść za mąż i będzie wtedy skazana na wypełnianie obowiązków niewieściej płci, ale może też za mąż nie wychodzić — i pozostać sobą. Pisała zatem, że myliła się zamężna siostra Zamoyskiej, przekonana, iż „tak jak w pewnym wieku zęby kiełkują, tak w danym wieku, źle czy dobrze, ale trzeba za mąż pójść!” (s. 132). Życie człowieka nie jest realizacją biologicznych konieczności — sądziła autorka — lecz sprawą pomiędzy nim a Bogiem. Jest kwestią indywidualnego sumienia, a nie postępowaniem za ludzkimi zwyczajami, bo „najprzód o własnym zbawieniu pamiętać trzeba, a (...) i drudzy na tym najlepiej wychodzą” — twierdziła (s. 140). Gdyby ona sama bardziej ufała własnemu „ja”, gdyby miała dość siły aby przeciwstawić się namowom kochanych przez nią ludzi, gdyby nie uległa słabości serca — nie popełniłaby błędu małżeństwa.¹⁷ Tak sądziła.

Czy jednak rzeczywiście mogła uniknąć tego zawirowania losu i wymknąć się własnej kobiecości? Czy mogła udać się, powiedzmy, do klasztoru? Predestynowała ją do tego pragnąca odgraniczyć się od świata osobowość. Jej dzieje były niemal odwróceniem stereotypu dziewczyny, którą zamiast wydać za mąż, wtrąca się do klasztoru siłą. No cóż, kochała Zamoyskiego jak Polskę. A Polska zażądała od niej jej płci.

Tak przynajmniej rozumiał jej decyzję Krasiński, gdy odpowiadając na niechętnie generałowi komentarze pisał:

Obrzydliva gazeta z wyrażeniem „50-letni starzec”, co za zawiść niska i podła. Kiedy wszelkie serce lechickie by się powinno radować, że takie serce dziewicze znalazło się na ziemi lechickiej, co pojęło, iż trud za ojczyznę jest drugą, jest nieśmiertelną młodością.¹⁸

¹⁷ Wiek dojrzały osiągnęła dwójka dzieci Zamoyskiej. Żadne z nich nie popełniło „błędu małżeństwa”.

¹⁸ List Z. Krasińskiego do S. E. Koźmiana z 17 VI 1852, w tegoż: *Listy do Koźmianów*, opracował i wstępem poprzedził Z. Sudolski, Warszawa 1977, s. 407.